

Z BRAZYLJI

DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

NR. 8. KWIECIEŃ 1932. ROK VIII.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

ROK VIII. KRAKÓW, KWIECIEŃ 1932. NR. 8.



Z BRAZYLJI

— Kontury wyniosłych palm nadbrzeżnych na tle bezkresnej tafli oceanu — Ciemna toń rozjaśniona cudownie srebrnym blaskiem księżyca i roziskrzona złotem fosforescencji — Sen nocy letniej, kołysanej szmerem fal morskich i blaszanym szelestem liści palmowych. — —

— Albo pęd samochodów, gwizd i dymy kominów fabrycznych, ruch w eleganckich magazynach, jaskrawe reklamy kinematografów, zgiełk i gwar wielkiego miasta. — —

— Lub dziki zakątek puszczy, dokąd liany bronią dostępu, kędy zwierz drapieżny i jadowite gady dzielą swe królestwo z cudownie pięknemi kwia-

tami, wśród których unoszą się kwiatom podobne błękitno-liljowe motyle — jak ptaki, — i jaskrawe maleńkie koliberki — jak motyle. —

— A dalej bezkresne przestrzenie stepu nagiego, silnie falistego, o szarożółtej trawie — A gdzie trawa rzadsza, tam ziemię widać — różową, czerwono-wiśniową ziemię. —



— Snują mi się obrazy przed oczyma — kolorowe wspomnienia. —

— Ale najczęściej wraca obraz jeden — słoneczny — żywy — i taki bliski. —

— Kochana gromadka roześmianych dzieci polskich — takich swojskich, choć „pinior" obcy, nie lipa polska, cienia im skąpego udziela, — takich bliskich, choć może nigdy Polski nie widziały i nie zobaczą — Gromadka dzieci polskich, ufnie do życia uśmiechniętych — Zastęp przyszłych bojowników, co o lepsze jutro walczyć będą narówni z rodakami w Ojczyźnie — dla Niej — dla Tej, co zmartwychwstała. —

M. Habdank.

„Gdy sprawiedliwość społeczna nie może jeszcze działać z pełną siłą, tem głośniej odezwać się powinien głos miłości społecznej, która nie zależy ani od ustrojów gospodarczych i społecznych, ani od warunków materjalnych. Miłość wszystko zwycięży".

(Ks. Bp. Kubina: »W podniosłych chwilach«)

M. TRACZEWSKA

JÓZEF HAYDN

(1732—1932).

Józef Haydn — to symbol muzyki obcej poniekąd dla nas. Czego innego szukamy dziś w muzyce. Odmienne wymagania stawiamy kompozytorom. A temsamem jakże dalecy jesteśmy od nastroju i charakteru kompozycyj Haydna.

A jednak — imię Haydna nietylko historja muzyki na poczesnem miejscu umieściła. Sława imienia jego nie przebrzmiała w ciągu lat szeregu i przebrzmieć nie może.

Bo Haydn — to symbol epoki całej.

Idealny reprezentant XVIII stulecia. Artysta-kompozytor doskonale reprezentujący współczesność i dostosowujący się do jej wymagań.

Wiek XVIII — to wiek kontrastów i paradoksów.

Wielkopańskie dwory — i tłumy wyzyskiwanych nędzarzy. Kultura „sfer wyższych" — i ciemnota tłumów. Cynizm wolnomyślicieli — i przesądy konserwatystów. Wyrafinowany egoizm — i sentymentalny idealizm. Sielankowe nastroje dworskie — i krwawe wojny toczone dla błahych powodów. „Swiatły absolutyzm" rzekomo czyniący panujących „sługami swego państwa" — a jednocześnie upoważniający do wydawania olbrzymich sum na administrację i utrzymanie zbytkownego dworu. I ponad tem wszystkiem etykieta dworska, sztywna, nieubłagana, krępująca najważniejsze sprawy państwowe i usuwająca je na plan dalszy.

Bo dwór — to wszystko. Wspaniałe budowle, rzeźby mitologiczno-sentymentalne, strzyżone szpalery w parkach — zapewniają panującym zaszczytne przydomki, jak „le roi bienfaisant" i t. p.,

Na tem tle muzyka też musi nabrać charakteru czysto dworskiego. Rozwija się. Tak. Dwory utrzymują artystów operowych, duchowni — chóry i orkiestry, — ale w tych warunkach muzyka musi dostosować się do wymagań słuchaczy, odpowiedzieć ich pojęciom piękna.

I wtedy występuje na widownię artystyczną Haydn. Będąc synem wieśniaka z pogranicza Austrji i Węgier, jako mały chłopiec należy do kapeli dworskiej w Wiedniu.

Straciwszy głos, poświęca się całkowicie muzyce, pisząc tańce dla zespołów wiedeńskich i pieśni do oper. Jednocześnie pogłębia swe wykształcenie muzyczne, studjując F. E. Bacha i stwarza własny swój styl — kompozycje w duchu włoskiego rococo. Charakter muzyki jego odpowiada właśnie wymaganiom dworów — temsamem utwory jego zdobywają popularność. Haydn dostaje się na dwór hr. Morzina, a potem na czas dłuższy do hr. Esterhazych na Węgrzech. Pracuje tam przez dziesiątki lat, jako dyrygent orkiestry nadwornej. Ale sława jego szerzy się coraz dalej. Sięga Wiednia, a przez Wiedeń obejmuje całą Europę. Symfonje jego i kwartety grają kapele dworskie odległych państw. Artysta otrzymuje liczne zaproszenia — do Kadyxu, do Londynu. Mężowie stanu składają mu wizyty, panujący przyjmują go jak księcia. Europa zachwyca się jego muzyką — i składa hołd kompozytorowi.

Prawda, muzyka jego nie ma wielkich aspiracyj muzyki późniejszej, prometejskiej muzyki romantycznej. Ale oratorjum jego „Stworzenie Swiata" podziwia cała Europa jako cudow-

ny utwór naiwnej wiary w wieku dysput ateistycznych — a symfonja jego i kwartety reprezentują pewien nowy styl instrumentalny.

Po nim przyszli więksi: Mozart i Beethowen, którzy jeszcze za jego życia tworzyć zaczynają. Ale genjusz muzyczny tych dwu nie umniejsza w niczem niezaprzeczonej wartości ich poprzednika, którego artyzm idealnie odzwierciedla całą epokę. Wspaniała twórczość Mozarta i Beethowena nie usuwa w cień Haydna — wielkiego kompozytora i typowego przedstawiciela XVIII stulecia.

GUSTAW MORCINEK

K R Y S I A

(Ciąg dalszy)

Maniek i Haniczka pokochali dziewczynę, jakby to ich siostra była. Obydwoje chodzili do szkoły, więc mała Krysia pasła za nich Strzygę. A kiedy wrócili, biegli do niej na łąkę i pospólnie bawili się. Jeżeli deszcz padał, Krysia okrywała grzbiet Strzygi starym miechem, sama zaś stawała pod okapem przydrożnej kaplicy i nuciła jakieś piosenki. A gdy Maniek z Haniczką wrócili ze szkoły, biegli do niej i znowu się bawili pospólnie. Najczęściej to jej wtedy opowiadali bajki, które w szkole od nauczyciela słyszeli.

Mijały dni, mijały tygodnie, Krysia zapomniała już zupełnie i o swojem sieroctwie i o przeżytych chwilach u gazdów Moroniów. Rozśpiewana, jak złocisty wróblik, krzątała się po domu Kożuszników, pomagała w pracy, myśli wszystkich starała się odgadnąć, wesoła, roześmiana, jasna, a Kożusznikowie nie skąpili jej swojego prostego serca, przygarniali do piersi, głaskali po płowej czuprynce. Nieraz Kożusznik siadał w cieniu pod rozkwitłą jabłonką, pykał długą, ciemną fajkę, uśmiechał się pod wąsem i patrzał na dziewczynkę. Dobrze mu było z nią i tak jakoś jasno, jakby mu rzetelny miód w serce kapał.

— Dobrze uczyniłem — mruczał pod strzępiastym wąsiskiem, co go raz wraz dłonią odgarniał — dobrze uczyniłem. Człowiek na stare lata jakby odmłodniał, patrząc na tę złotą kruszynę. Wesołe to, rozszczebiotane, a strasznie miłe. A Pónbóczek zaś mi to inszą stroną wynadgrodzi, co jej teraz dam zjeść i wszystko!... Dobrze uczyniłem!... — i znowu się uśmiechał do swoich myśli, które mu się wydawały, jak te białe chmurki po niebie, co w słonku wędrowały.

Przyszła jednego razu stara Bajtkula. Schylona, znużona, kijaszkiem się podpierająca.

— Na, witom was, Bajtkulo! — zawołał ode progu Kożusznik. Kajżeście się tu nabrali?

— Pochwalęż Jezus Chrystus!...

— Na wieki amen!... — rzekł Kożusznik, uchylając czapki.

— Nale, duszyczko moja — zaczęła zdyszana Bajtkula — przyszłach się też popatrzeć na moją Kryśkę!... Nie miałach czasu wcześniej, bo wciąż i wciąż robota człowieka goni, a trochę mnie też stare kościska bolały, ale dziśko gazdowie pojechali na jarmark do Cieszyna, mom troszkę czasu, więc żech też przyszła się popatrzeć... Żyje moja Kryśka?... Żyje?...

— Hale mój Boże... Ale siednijcie se, bo was nogi bolą... Starzyście...

— Tak, tak, na świecie, świecie!... — przyświadczyła Bajtkula. — Starość

nie radość!... Toż powiadocie, Kożuszniczku, że Krysia żyje!...

— Cóżby nie miała żyć?... Wygrzebało się biedactwo z tej niemocy... wiecie, co se ją naprosiła, kiedy miała w kościele zmarznąć... i teraz już jest wesoła i zdrowa, jak ryba...

— Tak, tak na świecie, na świecie!... Jo se zaroz prawiła, że bydzie się miała u was dobrze, jak u Pana Boga za piecem. Zarozżech se prawiła, że bydzie miała u was złote gody.

— No, złote gody, jak złote- — bronił się skromnie Kożusznik. — Ale krzywdy już tu u nas nie zazna, boby mnie Pónbóg skoroł!... Dyć to takie przemiłe dziouszysko, że ani nie wiem, co... Ale, tam bieży Kryśka!... — i wskazał fajką na drogę, lecącą od miasta.

Spojrzała Bajtkula i aż dłonie złożyła uradowana. Bokiem drogi śpieszyła Kryśka, podskakując niefrasobliwie i śmigając kijaszkiem, a za nią biegli w dyrdy brodata koza, pobekując radośnie i Mruczek, łakomy wróbli.

— Kryśka!... Kryśka!... — zawołała Bajtkula.

Spojrzała dziewczyna, klasnęła w dłonie i teraz puściła się pędem do domu. A za nią koza i Mruczek. Dobiegła dziewczyna, przypadła do Bajtkuli, ujęła za dłonie i przytuliła się do niej. A Bajtkula nic, tylko pociągała przez nos, co tak mocno była wzruszona i głaskała chropowatą, spracowaną dłonią po jej głowie. Koza znowu stanęła przy Bajtkuli, chwilkę ją obwąchiwała ciekawie, a potem jęła uparcie wsuwać swój podłużny łebek w jej obszerną kieszeń, w której smakowity chleb pachniał.

— A idziesz, ty Strzygo!... — żachnęła się Bajtkula, widząc dobierającą się kozę do jej kieszeni. — Dziwajcie się jeny!... Jako mi tu pani!... Chleba się jej zachciało! Jo tu przyniosła chleb dla mojej Kryśki, a ona jużby go chciała wycyganić!... Tu mosz, Krysieczko... tu mosz!... — i wydobyła dwie duże pajty chleba z kieszeni i jęła wciskać dziewczynie w piąstki.

— Ale idźcie, idźcie, dyć nie dawajcie! — rzekł Kożusznik. — Przecież Kryśka tu nie ma głodu...

— Wiem o tem, wiem, Kożuszniczku!... No, weź se, Kryśko, weź!... Idziesz, ty Strzygo, zaś bydziesz wychciewała od Kryśki chleba!... Dyć jo wiem, Kożuszniczku, że jej tu nic nie brakuje. Ale to jest chleb, pomazany powidłami, które Kryśka tak bardzo lubi!... No spróbuj, Kryśko, że są dobre.

— Dziękuję, Bajtkulo, za chleb z powidłami. Ale mojej Strzydze mogę dać kąsek?...

— No wiesz, dlo kozy jest tylko dobra trawa, ale jak ją tak lubisz, to jej daj kawałek.

Krysia zebrała palcem grubą warstwę smakowitych, różowych powideł ze skiby chleba, do ust włożyła, cmokła z zachwytu, po żołądku się pogłaskała, następnie ułomiła kawał chleba i wetknęła Strzydze między zęby. I tak teraz razem pojadali gościniec Bajtkuli.

— No, sprawiła się u was Krysia, Kożuszniku. Dziewczyna wesoła, rumiana, zdrowa. Pónbóg wóm to wynadgrodzi. Ale powiedzcie mi, co potem?

— Jakto potem?

— No, jak dziewczyna wyrośnie. Co zamierzacie uczynić z nią?

— Hm, czy jo wiem? Do szkół jej dać nie mogę... zresztą dyć jeszcze ani do powszechnej szkoły nie chodzi. Na drugi rok dopiero pójdzie. A gdy wyrośnie?... Ho, ho!...

— Wiecie, Kożuszniczku... — zaczęła tajemniczo Bajtkula.

— Co?

— ...bo dziewczyna mogłaby mieć i w późniejszem życiu złote gody...

— Jak to myślicie?

— ...gdyby były te pieniądze, co jej matka — Boże jej tam dej radość wieczną — zostawiła...



— Kiedy Moroniowie twierdzą, że nic nie otrzymali od jej umierającej matki. A świadków niema. No pewnie, gdyby były pieniądze, toby dało się dziewczynę do jakiego pensjonatu, zabezpieczyłoby się jej jaki porządny chleb na starsze lata, wykształcenie i wszystko. Ale tak...

Bajtkula przysunęła się bliżej do Kożusznika, schyliła się i zniżyła głos.

— Wiecie, Kożuszniczku... bo mnie się tak wszystko zdo, że Moroniowie mają pieniądze Kryśczyne.

— Hm, ja też to myślę. Ale kiedy oni się nie przyznają, a świadków — jak mówią — niema.

— ...bo oto wieczorem, jak się szykowali, że pojadą dziśka na jarmark, to się zamknęli obydwa w komorze, wiecie, Moroń z Morońką... i rachowali pieniądze... Mówię wom, Kożuszniczku, same takie wielkie papierowe pieniądze...

— No tak... liczyli, ale przecież to mogli mieć swoje!

— Toch samo myślała!... Ale widzicie ze mnie już jest tako ciekawo stwora... no, jako staro baba!... Jo już nie mogę za swoją noturą!... I kiedy widzę, że się gazdowie do komory schronili i zamknęli na klucz, zarozki podeszłach na palcach do dźwierzy i patrzę się przez kluczową dziurkę... I jako prawię!... Widzę, że rachują same stówki!... A gromadę ich mieli. Gaździnka pluła na palce i rozkładała je na beczce, a gazda tak się patrzał w te papierki, jak djabeł do stajenki betlejemskiej... No i dobrze. A potem przytknęłach ucho do szpary i słucham, co se mówią. I słyszę, że se kupią to i tamto, a potem gazda powiedział: — Ale żeby też ludzie nie wiedzieli, że to są pieniądze Kryśczyne!... — Potem już nic nie mówił, bo go gaździnka mazła ręką po gębie i warknęła na niego: — Cicho, ty stary baranie!... Aż mi tylko ty jeny gdzie gęby nie odewrzesz, to żoden nie bydzie wiedzioł!... A jeszcze nas może staro Bajtkula podsłuchiwać!... — Uciekłach ode dźwierzy, żeby mnie gaździnka nie złapała na podsłuchiwaniu... Tóż takie to było!...

Nastała cisza, bo Bajtkula poleciała oczyma za Kryśką, co się bawiła z kozą na podwórzu, a Kożusznik zamyślił się ciężko.

— Wiecie, co? Bajtkulo? — odezwał się znienacka i jakby uradowany.

— Co, moja duszyczko? Co?...

— Pójdziecie za świadka do sądu!... Podamy Moroniów do sądu, że zataili pieniądze Kryśki, a wy będziecie świadczyli, coście widzieli przez kluczową dziurkę i coście słyszeli!...

Bajtkula przeraziła się. Jęła się wymawiać i tłumaczyć, że tego nie uczyni, bo jak długo żyje, nigdy jeszcze nie miała nic do czynienia ze sądami, że naraziłaby się na wypędzenie jej z domu Moroniów, wskutek czego przypadłoby jej gdzieś pod płotem umrzeć, że tego nie uczyni i nie uczyni... Potem spłakała się rzewnie i jęła prosić Kożusznika, żeby nie robił głupstwa i nie donosił tego do sądu, bo może się myliła, może się przesłyszała i wszystko...

— No dobrze, dobrze!... — zgodził się niechętnie Kożusznik — Kiedy już tak, to nie zrobię z tego użytku. Ale pamiętajcie, że jak przyjdzie kiedyś chwila, a wam nic nie będzie groziło ze strony Moroniów, że naszym obowiązkiem jest, żeby tak uczynić... No, dobrze już, dobrze...

Bajtkula jeszcze raz jęła prosić, żeby dał spokój wszystkiemu, bo gdzieby się teraz na stare lata podziała, gdyby ją Moroniowie rozgniewani wygnali, poczem pożegnała się i zatroskana podreptała ku domowi. Kożusznik zaś długo patrzał za nią i coś mruczał z niechęcią.

Miasteczko nad rzeką.

Minęło kilka tygodni.

Kożusznikowi nie dało spokoju odkrycie Bajtkuli. Poszedł więc do księdza proboszcza, lecz obydwaj nic nie mogli wymyślić.

— Hm. trudno... — martwił się ksiądz proboszcz. — Jeżeli Bajtkula odmówi zeznań, lub jeżeli gotowa zaprzeczyć, że to nieprawda, co mówiła przed wami, to niczego nie przewiedziemy. Przepadło. Trzeba będzie szukać innej sposobności, żeby te pieniędze wydostać od Moroniów.

Kożusznik głowił się teraz nie poradnie, jakby to uczynić, żeby było dobrze. Zwierzył się przed żoną ze swego zmartwienia, a że Maniek i Haniczka były wtedy w izbie i słuchały wszystko, jęli się teraz wszyscy, prócz Kryśki, zastanawiać nad znalezieniem sposobu odzyskania Kryśczynego dziedzictwa.

Nic nie można było wymyślić.

Dni mijały jednostajnie, ciepłe, nagrzane upalnem latem, ciche i jakby syte dojrzałością nadchodzących żniw. W miasteczku była senność. Za dnia majsterkowie tłukli młotkami czy krzątali się po warsztatach, wieczorem zaś wychodzili przed próg, siadali na wyniesionych ławach pod ścianami i mówili o wszystkiem, co się za dnia zdarzyło. Żony ich zaś zbierały się wielką gromadą koło pękatej studni na rynku, postawały gromadkami i z założonemi rękoma na piersiach, plotkowały zawzięcie. Dorastające córki ich przechadzały się po jedynej alei lipowej, co biegła pachnącą ścieżyną wzdłuż bełkotliwej rzeczki, wzdychały rzewnie do wschodzącego księżyca, nuciły smętne piosenki o nieszczęśliwej miłości, chłopacy zaś błąkali się gromadami pod oknami najurodziwszych mieszczańskich córek i brzdąkali słodko na mandolinach. Za dnia małe chłopięta i dziewczyny taplały się w płytkiej rzeczułce i czyniły srogie larum i pisk przewielki w kryształowej wodzie. Czasem przyplątała się między rozkrzyczaną młodą gromadą jakaś poważna i stateczna mieszczka, włażąca do wody w długiem koszulisku, sięgającem do pięt.

Miasteczko rozłożyło się na głównym trakcie, biegnącym z jednego krańca świata na drugi kraniec. Zadowolenie stąd było wielkie u mieszczan, bo wystarczyło tylko stanąć na rynku i patrzeć spokojnie, żeby się wszystkiego dowiedzieć. Przez rynek bowiem prowadziła droga, którą wędrowali ludzie na odpust do cudownego miejsca, maszerowali uznojeni żołnierze, idący ze śpiewem na jakieś dalekie ćwiczenia, przejeżdżały z hurkotem pakowne bryki i wozy, przelatywały z bekiem wystraszone samochody. Owe samochody były jedynem utrapieniem miasta. Kiedy taki wytrzeszczony powicher wpadł na rynek, czynił się wielki zgiełk między domami, przerażone kury rozbiegały się z okropnym lamentem na wszystkie strony, kaczki i stada gęsi, pasące się na chudej trawie koło studni rynkowej rozlatywały się z płaczliwem narzekaniem i gęganiem, ludzie zaś umykali przezornie pod ściany i patrzyli złem okiem na beczącego opętańca, co dymem smoli, że aż w nosie wierci, a łacno może człowieka przejechać i ciężko uszkodzić. nie mówiąc już o strasznem niebezpieczeństwie, jakie groziło gęsiom, kurom i kaczkom.

C. d. n.

UŚMIECH ŻYCIA

Instynktem niekochanego dziecka, przeczuwała grożące jej nowe niebezpieczne współzawodnictwo w zdobywaniu serca u tych dwojga, do których miłości zawsze skrycie tęskniła. Ale obok tego nieświadomie poddała się jakiemuś błogiemu wrażeniu bezpieczeństwa. Była pewna, że ten „duży“ chłopiec wniesie w jej monotonne życie zmianę, nie da jej krzywdzić.

— Widzę, że będziecie żyć w zgodzie, maleńka, powiedział proboszcz, głaszcząc serdecznie jasną główkę dziecka. — Ale ta mała coś mi wygląda bladziutko, a oczy niby modraczki w życie robią wrażenie, jakby je często rosa łez obmywała, — i zwrócił się pytającym wzrokiem do pani Mierzejskiej.

Młoda kobieta, nieco zmięszana, spuściła oczy. Wyczuła w tych słowach lekką wymówkę.

Dziewczynka była chrześniaczką proboszcza, który dziecku okazywał dużo serca, jakby przeczuwając, że brakowało mu go u rodziców.

— Ta mała jest dzieckiem tak zamkniętem w sobie, że nigdy i nikomu niewiadomo czego jej potrzeba, — usprawiedliwiała się niechętnie pani Mierzejska.

— Lenko — rzekła, zwracając się do dziewczynki, — zabierz Romka do swego pokoju i pokaż mu swoje skarby. Lenka ma śliczne zbiory owadów i ciekawe książeczki z obrazkami z dziedziny przyrody, którą się bardzo interesuje; — objaśniała jakby od niechcenia, proboszczowi. Widać w tem było chęć przekonania go, że pod rodzicielskim dachem, dziecku niczego nie brakło.

Ale proboszcz słuchał tego obojętnie, bo wzrok jego zafrasowany śledził uparcie powolne, pozbawione zwykłej temu wiekowi żywości, ruchy dziecka.

— Stanowczo tej małej czegoś brakuje, jest jak zgaszona, i nagle z pewną surowością spojrzał w oczy pani Mierzejskiej. Czy wy czasami, moi mili, nie przesadzacie w swoim kulcie dla pamięci zmarłego? Całą miłość zwracacie ku nieżyjącej dziecinie, a tej żywej zostają zaledwie resztki wyziębłych uczuć? i rośnie to jak kwiatek bez słońca...

Dobrym psychologiem był ksiądz proboszcz i wiedział w jaką strunę uderzyć, bo twarz pani Mierzejskiej pokrył gorący rumieniec. Po raz pierwszy ta kobieta, której serce zamknęło się i stwardniało, zasklepione w egoistycznym bólu, poczuła na dnie tego serca jakieś ukłucie, coś w rodzaju wyrzutu sumienia. Prawa jej natura stanęła oko w oko z brutalną rzeczywistością.

Poczuła, że tego drugiego dziecka nie kocha ani w połowie nawet tak, jak tamto pierwsze, dla którego wyczerpała widocznie cały zapas tkliwości, że przeogromny skarb, jakim jest serce matki, dla tego dziecka był dotąd niedostępnym.

Poraz pierwszy zauważyła, że dziewczynka była smutna, że wielkie szafirowe jej źrenice okrążały sine cienie, a na delikatnych, jak z marmuru wykutych skroniach, wyraźnie znaczyły się błękitne żyłki.

Dziecko nie miało ani cery świeżej, ani ruchów żywością i zdrowiem nacechowanych.

Już z całą nawet bezwzględnością robiła wyrzuty za brak troskliwości i starań około dziewczynki, już była gotowa do dużych ofiar w tym kierunku, gdy naraz miłość do zmarłego synka siłą faktów stojąca w sercu na pierwszem miejscu, taki bunt podniosła, taką śmiertelną walkę wytoczyła przeciw zbudzonemu nagle po-

czuciu obowiązku, który mógł łatwo przerodzić się w miłość, z takim gwałtownym wybuchem poczęła bronić swych praw, że młoda kobieta aż się zachwiała pod siłą tych sprzecznych uczuć.

Szanse Lenki zbladły... W niemej i nieświadomej walce o należne sobie miejsce w sercu matki — przegrała. Zimny trupek nieznanego braciszka i tym razem, — a może nie po raz ostatni zagrodził jej wstęp do tego serca.

— Romek jest dzielny i energiczny chłopczyk, jestem przekonany, że jego towarzystwo dobrze wpłynie na Lenkę, która była istotnie zanadto odosobniona od dzieci.

Takiem powiedzeniem pan Mierzejski rozproszył resztę wątpliwości, rozbudzonych w sumieniu matki. Skwapliwie uchwyciła się tej myśli, widząc w niej szczęśliwe rozwiązanie kłopotliwych skrupułów.

— Tak — tak! obecność Romka przyniesie zbawienne rezultaty wychowawcze dla Lenki, żywo wtrąciła, musnąwszy obojętnym pocałunkiem główkę dziecka, dumna z pomysłu męża, który paru słowy genjalnie rozwiązywał problem obowiązków rodzicielskich.

Tylko proboszcz nie bardzo był zadowolony z tak kompromisowego załatwienia sprawy, która mu leżała kamieniem na sercu. Sam bywał u państwa Mierzejskich dość rzadko, by osobiście móc zaobserwować fakt, zarzucany matce Lenki, ale informacje miał za to bardzo szczegółowe od starej niani dziecka, która jedynie otaczała je w tym domu miłością.

Tymczasem Lenka, niewinny powód chwilowego dysonansu, wchodząc odrazu w rolę małej gospodyni swego apartamentu, wbrew zwykłej nieśmiałości, czując intuicyjnie zaufanie do tego dużego przyjaciela, włożyła swą malutką rączkę w jego dłoń i powiedziawszy władczo „chodź“! powiodła go do swego krolestwa.

A państwo Mierzejscy, korzystając z nieobecności dziewczynki, poczęli w dalszym ciągu rozpytywać proboszcza o szczegóły tragicznej śmierci obojga rodziców Romka.

Zwłaszcza młodą kobietę wstrząsnęła do głębi urywkowo otrzymana wiadomość, gdyż pani Iwicka była najdroższą jej przyjaciółką ze szkolnej ławy.

Przypominam sobie teraz doskonale różne szczegóły ze wspólnie przeżywanych chwil, mówiła, śledząc pamięcią przesuwające się obrazy.

Byłyśmy przez lat dziesięć nierozłącznemi towarzyszkami, dzieląc wspólnie radości i troski życia w pensjonacie. Przed maturą złożyłyśmy sobie wzajemnie uroczyste przyrzeczenie, że o ile los nam przeznaczy małżeństwo, to śluby nasze odbędą się w tym samym miesiącu i tak, abyśmy obie w nich uczestniczyły, a jeśli Bóg pobłogosławi potomstwem, to pierwszego syna, czy córkę nazwiemy jednakowo, a później postaramy się skojarzyć małżeństwo wśród naszych dzieci.

Los nam sprzyjał widocznie, bo śluby nasze odbyły się istotnie prawie jednocześnie. Wandzi jako starszej o parę tygodni wcześniej, mój później, — obie oddałyśmy sobie wzajemne usługi, jako pierwsze druchny.

Państwo Iwiccy zamieszkali z początku w Warszawie, dzięki czemu stosunki przyjacielskie utrzymywały się nadal. Zacieśniły się węzły jeszcze bardziej, gdy obie nas Bóg obdarzył synami. Naturalnie wierne przyrzeczeniu, dałyśmy naszym pierworodnym jednakowe imiona.

Romek Iwicki i nasz Romuś chowali się zdrowo i ślicznie; — tu pani Mierzejska zatrzymała się jakby przeżywanie tych chwil poraz drugi przeprzechodziło jej siły.

— Doprawdy, Ewuniu niepotrzebnie odgrzebujesz wspomnienia, które cię zawsze pozbawiają równowagi, zostawmy mogiły w spokoju... przerwał pan Mierzejski niezadowolony. Bał się zaw-

sze widma przeszłości dla żony, pamiętając jak długo umysł jej nie mógł się pogodzić z rzeczywistością.

— Nie — nie! nie lękaj się, najdroższy, uspokajała go, próbując nawet się uśmiechnąć. Czuję się dobrze, a chcę skończyć księdzu proboszczowi, bo się ta smutna historja snuje jak powieść. To pierwsze powodzenie naszych planów, — ciągnęła, tak nas ośmieliło, że z całą pewnością układałyśmy dalsze.

Następnemi pociechami miały być z kolei rzeczy, dziewczynki i już w marzeniu kojarzyłyśmy dwa małżeństwa.

Niestety! Ani ona, biedactwo, ani ja, nie doczekałyśmy urzeczywistnienia naszych zamiarów.

Nastało chwilowe milczenie; każde z trojga inaczej przeżywało bolesne wspomnienia. I na nowo podjęła pani Mierzejska:

— Po dwóch latach nieprzewidziany wypadek pokrzyżował nam trochę plany. Oto pan Iwicki otrzymał schedę po zmarłej babce i musiał objąć majątek na kresach. Naturalnie Wandzia pojechała z mężem, zabierając Romcia. Chłopcy podnieśli lament na myśl o rozstaniu, bo byli nierozdzielnymi przyjaciółmi.

Dalszy ciąg tych smutnych dziejów niech łaskawie opowie już ksiądz proboszcz, bo z luźno posłyszanych szczegółów nie mogę stworzyć całości, — zwróciła się do staruszka pani Mierzejska.

— Dobrze, postaram się wszystko zebrać, odpowiedział, zasiadając w głębokim fotelu.

Otóż po objęciu majątku, otrzymanego w spadku, pan Iwicki wziął się do racjonalnej gospodarki, zwłaszcza, że pod długim zarządem zniedołężniałej staruszki, wszystko chyliło się ku upadkowi. Ale energja i stanowczość, z jaką pan Iwicki wziął się do tępienia nadużyć, tworzyły mu wśród chłopów zaciętych i nieufnych, coraz więcej niechętnych.

Zwłaszcza jedna rodzina najbardziej wrogo się stawiała, rozzuchwalona walką ze dworem z dziada pradziada. Ci często odgrażali się zemstą, niedwuznacznie nawet przechwalając się, że Złotopole zrównają z ziemią, a z dziedzicami rozprawią się krwawo.

Pan Iwicki mało sobie z tych pogróżek robił, nie wierząc w ich aktualność. Niestety, położenie było naprawdę gorsze niż on przypuszczał.

C. d. n.

A. KWIECIŃSKA.

SĄ CHWILE

Są takie chwile na pozór smutne bardzo
samotne chwile bez celu, bez imienia,
które się rzadko przyjmuje i docenia,
któremi zwykle weseli ludzie gardzą.

A jednak w chwili zupełnej samotności,
czy też w rozłąki niemiłej godzinie —
w skupienia ciszy do serca mego płynie
wewnętrzna radość najsilniej i najprościej.

Często — gdy myślą, żem biedna jest ogromnie,
nie znają wcale mego szczęścia ludzie —
które w duchowej równowagi cudzie,
jak światłość słońca wtedy idzie do mnie.

O K R Ę Ż N Ą D R O G Ą

(Dalszy ciąg).

W Kurji Generalnej rozważają Matki Urszulanki i historję i nastroje i wskazania katechizmu i cyfry z bilansów i budżetów i czynią wielki przegląd sił...

Czyż to nie do nich mówi św. Paweł: „aby byli ku sławie chwały Jego, którzy wprzód pokładali nadzieję w Chrystusie“ (Ef. I. 10).

Ku sławie chwały Jego, dla której postanowione są na ziemi... A jednak „odmowny“ list poszedł do Charbina.

Brak środków materjalnych, brak rąk do pracy; pierwszy obowiązek tu w kraju, gdzie zły wicher ostowe puchy miota.

Wikarjusz apostolski prośby ponawiał i pewnie modlitwy podwajał.

Wszak chodziło o sprawę chwały Jego... Opowiadać ją trzeba tym, którzy blisko i którzy daleko.

Modlą się Matki:

Urszulo męczenniczko z towarzyszkami swemi... do wielkiej podróży i walki w obliczu dzikich Hunnów przez Archanioła Rafaela wspomagana,
przyczyń się!

Anielo de Merici, anioły i święte dziewice w wizji oglądająca, przyczyń się!

Marjo od Wcielenia, którą z gotyckiego Tours na pustosze Kanady powiódł Tobjaszowy przewodnik anielski,
przyczyń się!

Klotyldo z towarzyszkami, męczennico z Valenciennes, Elżbieto Tereso, męczennico z Orange,
przyczyń się, przyczyń się!

Modlą się Matki.

W ciszy kaplicy jęk, co się po ziemi głosi od czasu Kainowej zbrodni.

Jęk dusz... nieświadomych łaski —

Łaknących, choć nie wiedzą —

Spragnionych, choć upornie odtrącają wodę żywota —

Dziesiątki tysięcy (około 75.000) ludzi umiera codziennie...

Ilu pośród nich nieodrodzonych z wody i Ducha św.? Niepojmujących wartości Męki Syna Człowieczego? ilu nic nie wie o Matce Najsłodszej? o świętych obcowaniu, o wieczności wizji błogosławionej?

Ilu tam grzesznych, obojętnych, niedbałych o przynależność do Rodziny Bożej w Kościele, z lekceważeniem traktujących fakt, że Trójca Przenajświętsza pragnie mieć przybytek swój w każdej duszy ludzkiej, że pożądaniem pożąda Chrystus pożywać paschę z wiernymi swymi.

W myślach i modlitwach przesuwają się, niby wielki korowód wszystkie prawdy święte i wszystkie dogmaty Kościoła, z którym do skończenia wieków jest Jezus-Król, Jezus Anioł Wielkiej Rady.

Wszak Kościół tworzy olbrzymie instytucje rozkrzewiania wiary i na hekatombę skazuje najlepsze syny swe i córki na obcych ziemiach i na ołtarze wynosi męczenniki za wiarę.

Nie wolno oglądać się na to, że dosyć mamy przecie w naszej ojczyźnie biedy i grzechu i spoganizowania. Nie wolno słuchać podszeptów „przyjacielskich“, że takie azjatyckie placówki — to doły mogilne dla nowego kontyngentu głodomorów, że to lekkomyślny, bezcelowy, dewocki odpływ żywego, ciężkiego grosza polskiego, dla gromady wykolejeńców, dla przeklętych Moskali, dla skośnookich, chytrych Chińczyków.

Zapewne niejeden katolik nawet kwalifikuje wszelkiego typu misje pozakrajowe określeniem: księży wymysł, zaślepienie bigoterji, brak patrjotyzmu...

Ponadtem przechodzi myśl zakonna.

Głośno wołają dusze o ratunek błagające — i woła Bóg.

Decyzja zapadła. Pojadą. Dei enim sumus adjutores. (I. Koryn. III. 9.)

Jedzie ich sześć — Wybrane z tych, co się na ochotnika zgłosiły, aby na obcej ziemi być pomocnicami Boga.

Na samym wstępie ofiara wielka, choć się ją traktuje jak drobnostkę, choć się o niej nie mówi nikomu. Trzeba zdjąć habit zakonny już nawet w Warszawie przed pójściem do urzędów sowieckich. W świeckiem przebraniu niemal cała podróż i żadnej na wierzchu książki religijnej ani różańca w dłoni.

A to dni Matki Jezusowej — więc w Kurji Krakowskiej zaczęta nowenna do Pani Anielskiej, w pociągu bolszewickim się skończy w ciężkości na całopalenie ofiarne niesionej. Tak samo rozpoczną nowennę do Królowej Wniebowziętej, Którą Anioły z ziemi w niebiosa niosą.

Opuszczają Warszawę d. 31 lipca (1928). Ewangelja na ten dzień św. Ignacego Loyoli, jakoby do nich zwrócona: „Żniwo zaiste wielkie, ale robotników mało... Idźcież: oto ja was posyłam jako baranki... żadnego w drodze nie pozdrawiajcie... I uzdrawiajcie niemocnych... a powiadajcie im: „Przybliżyło się do was królestwo Boże".

(Św. Łuk. X.)

Jadą transsyberyjską koleją. Jak na taśmie filmu przesuwają się ludzie inni — i kraj inny. Uderza bezosobowość rosyjskich pasażerów, przekupniów i służby. Czuć, że tu usta i ruchy i spojrzenia i myśli nawet na jakąś kłódkę zamknięte. Nad wszystkiem przesuwa się strychulec bolszewicki — aby wszystko było jednakie — a sprawia, że wszystko jest martwe.

Tajgi sybirskie. Budzą się echa powstańczych bojów i katorgi. Tędy szło ich tylu zakutych w kajdany, najlepszych synów Ojczyzny... Tylu zginęło. Teraz słońce — lato — martwota raju bolszewików.

Wtedy za Murawjewa Wieszatiela — kibitki w śniegach — sotnie kozackie — knuty i ten marsz ciągły, widmowy, dziesiątków, setek, tysięcy zesłańców męczeńskich za wiarę i Ojczyznę!

Irkuck, Angara — tędy szli Ojciec Rafał Kalinowski, Oskierko i tylu innych... Zdaje się, że słychać jak kajdany dzwonią... A oto Bajkału jezioro, wielkie jak morze... zdala widać ścianę bazaltu urwistą...

Tędy szedł Ojciec Wacław Nowakowski, Brat Albert Chmielowski i tylu innych...

Szary step, monotonny...

Burzany szeleszczą blaszanym szelestem...

Czasem stado koni, bydła lub wielbłądów...

Tak żre tęsknota za ziemią rodzoną polską — za gromadami dziewczynek kochanych polskich — za celą z Chrystusem na białej ścianie, za Matką Generalną — Siostrami zakonnemi — za kaplicą, gdzie w tabernakulum bije Eucharystyczne Serce Pana naszego...

W wagonie trzeciej klasy, zakonnice po świecku przebrane, na moskiewskiej ziemi jako w świątyni Jerozolimskiej, na ołtarzach serc własnych składają ofiarę.

Dei enim sumus adjutores.

Dnia 8 sierpnia wieczorem przejechały granicę syberyjsko-mandżurską.

Słońce zachodzi w złocie i seledynie.

Siostry zakonne odmawiają psalm: „Chwalcie Pana, wszystkie narody: wysławiajcie Go, wszystkie ludy". (116).

Chiny — rewizja — gwar i tłok wielojęzyczny i wielkie uczucie swobody.

Wita ich ks. Leszczewski — jest Ojciec Paulin Wilczyński — jest gościnna kolacja — rozmowa o Charbinie, o budującym się domu urszulańskim, o stosunkach polskich — katolickich.

Ostatni etap podróży — ostatnia będzie noc w wagonie. Tymczasem rozmowa z Polkami. Matka jakaś smutna opowiada dzieje, dziewiętnastoletnia jej córka rozradowana różańcem, obrazkami, medalikiem z ojczyzny. Córki Anieli de Merici spełniają pierwszy akt misyjny, słowami pociechy i darem sakramentaljów — i pierwszy akt pomocy rodakom.

Taki malusi zda się — ledwie gest — ot nic. Niech go utysiąckrotnią Anioły, co je wiodą.

Świt dnia 9 sierpnia. Wigilja św. Wawrzyńca. W liturgji Mszy św. są te słowa: „przyjdzie Syn człowieczy w chwale Ojca swego z Anioły swoimi, a wtedy odda każdemu według uczynków jego". (Św. Mat. XVI. 27).

Niech Aniołowie Syna Człowieczego ścieżek waszych strzegą, wypłatę waszą gotują.

Droga biegnie przez góry Czinganu, to znów przez bujne stepy mandżurskie, gdzie wśród soczystych traw bielą się kępy białej spirei dzikiej, pasą stada koni, mułów, owiec, osłów — świszczą bambusy poganiaczy konnych o długich warkoczach. Od czasu do czasu wioska, jakby ją garncarz ulepił. Domki i ogrodzenia z gliny szarej, a wokół długie łany soji, gaolam (rodzaj prosa), ziemnia-

ków, fasoli, tatarki, słoneczników urozmaicają wesoły krajobraz, przecięty śliczną rzeką Nonni, nad którą leży uzdrowisko Fulardi.

Zbliża się wieczór. Siostry kończą ćwiczenia duchowne, a w sercach gorąca prośba o błogosławieństwo Boże i ufność bezgraniczna w Tym, Który wierny jest w obietnicach Swoich.

Coraz wyraźniejsze światełka, jak różańcem ziarn złocistych wytyczają linję mostu bardzo długiego nad rzeką Sungari.

Charbin.

Na stacji ks. Wikarjusz Generalny, Ojciec Gerard Piotrowski, ks. Proboszcz Ostrowski, O. Robert Wierzejski, Marjanin, przyrodnik i znawca Chin, ks. Wikary Zborowski i Brat Zacharjasz Banaś.

W małem seminarjum, dokąd autami jadą wszyscy, w ślicznej kapliczce oświetlony ołtarz. Te Deum Laudamus, Tantum ergo — błogosławieństwo Najśw. Sakramentem — Laudate Dominum i serdeczne słowa powitania misjonarek, wygłoszone przez Ojca Gerarda.

Po kolacji, pierwszy od tylu dni pacierz przed tabernaculum — na Chińskiej ziemi — a potem na ulicę Laojańską do prowizorycznego locum, którego użyczyła Rosjanka.

Na każdym kroku spotyka Siostry zakonne serdeczna życzliwość. Wszystko obmyślane, przewidziane — niczego nie brak.

Nazajutrz... o radości! Nareszcie spowiedź i Msza i Komunja św. Uciszyło się w sercach, gdy spoczęły w Panu.

Pierwsze dni pracowite bardzo. Zwiedzanie miasta, konieczne dla późniejszej orjentacji, zakupy niezbędne i wizyty w konsulatach i odwiedziny SS. Franciszkanek, Misjonarek Marji, których przełożona jest wychowanką urszulańską z Kanady.

A potem — w maleńkiem, cudzem mieszkanku od dnia Wniebowzięcia na głos dzwonka rozpoczynał się normalny tryb życia klasztornego. Zamiast pracy z dziećmi, prace przygotowawcze do przyszłego pensjonatu i szkoły.

Żal szczerze, że z barwnych listów-kroniczek Matki Immaculaty przełożonej z Charbina nie można powtórzyć w całości dziejów tej pierwszej urszulańskiej stacji misyjnej, co z polskiej prowincji poszła do Mandżurji. Zbyt ciasne ramy gościnności „Dziś i Jutra", zmuszają telegraficznym stylem mówić dalej.

A więc w dzień Michała Archanioła „Wielkiego Podpalacza miłości" dokonało się na Tsitsikarskiej ulicy poświęcenie klasztorku, który mieści także szkołę i pensjonat. Uroczystego aktu dopełnił W. O. Administrator Piotrowski i poraz pierwszy w miejscowej kapliczce odprawił Mszę św. Następnego dnia zjazd pensjonarek, jakiego nie przeżyła nigdy polska uczelnia.

Tłum ludzi nieznanych, nazwiska i dzieci obce. Wszystko wędruje wgłąb domu z wielką swobodą. bez pytania. Mamy ścielą łóżeczka swoim córuchnom, papowie nocne szafki dźwigają na górę i inne meble, których pełne wozy zajeżdżają przed furtę.

Nareszcie kolacja, rodzice odeszli, dzieci śpią

1-go października rozpoczyna się rok szkolny Mszą św., na której znów obecni rodzice i dzieci.

A potem — zadanie nielada. Głos dzwonka nie ucisza — jest raczej sygnałem hałasu.

C. d. n.



Zakład naukowo-wychowawczy SS. Urszulanek przy ul. Belgijskiej w Charbinie — dla dzieci polskich i chińskich.



Zakład naukowo-wychowawczy SS. Urszulanek przy ul. Tsitsikarskiej w Charbinie.

ENCYKLIKA „LUX VERITATIS"

W grudniu ub. r. ogłoszona została nowa encyklika Ojca św. Piusa XI »Lux veritatis«, poświęcona »światłu prawdy na wschodzie«. Encyklika ta porusza kwestję dwoistości Boskiej i ludzkiej natury Chrystusa, macierzyństwa Najśw. Marji Panny, oraz najwyższej władzy duchownej papieża.

Do pism włoskich napłynął szereg korespondencyj z Konstantynopola i bliskiego Wschodu, stwierdzających głękokie wrażenie, jakie encyklika wywarła na członkach kościoła wschodniego. Zwłaszcza schizmatyccy ormianie stwierdzają, że idea połączenia się z Kościołem rzymko katolickim jest im znacznie bliższa niż plan unji z kościołem anglikańskim, nie uznającym kultu Najśw. Marji Panny.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

W Egipcie coraz silniej rozwija się ruch nawróceń pomiędzy miejscowymi Żydami, którzy projektują utworzenie osobnej kolonji w Palestynie.



Załączona fotogr. przedstawia bonzę **Lo - ho - szan,** przełożonego wielu klasztorów buddyjskich w Chinach, w otoczeniu XX. Misjonarzy. Pod ich wpływem bonza okazuje dużo sympatji dla katolicyzmu.

W Bombay w Indjach Przedgangesowych ma być urządzona w roku bieżącym wystawa sztuki katolickiej i przemysłu — w celach propagandy katolicyzmu.

W Japonji działalność misyjna świetnie się rozwija, posługując się przytem pośrednictwem dzienników w prasie codziennej i miesięcznej.

W Abisynji istnieje jeszcze niewolnictwo. Na posiedzeniach Ligi Narodów jednak zajęto się tą kwestją w ostatnich czasach, wysuwając żądanie zniesienia tego barbarzyńskiego systemu. O ile postulat Ligi Narodów zostanie wprowadzony w życie, odzyska wolność około 2 miljonów ludzi.

Artystka teatralna — opiekunką trędowatych. Stanisława Umińska, b. artystka teatrów warszawskich, usunęła się zupełnie z życia teatralnego, poświęcając się pracy humanitarnej w zakładach opiekuńczych SS. Miłosierdzia we Francji. Obecnie zaś postanowiła opuścić Europę, wyjeżdżając jako apostołka trędowatych do francuskich kolonij w Afryce.

B O B

Podług Gyp'a — Anastazja Miłkowska.

Bob, ośmioletni chłopczyk w eleganckiem marynarskiem ubraniu. — Krótkie spodenki, czarne skarpetki — Nogi i ręce podrapane. Kieszenie napchane różnemi rzeczami. Bob bawi się w ogrodzie z wielkim psem, coś do niego mówiąc, i widocznie chwali się przed nim z tego, co posiada, wyciągając z kieszeni: zwitek szpagatu, książeczkę, chustkę, pieniądze, nożyk, śliwki, ołówek itp.

Przed bramę pałacu zajeżdża powóz, z którego wysiada jakiś pan i wchodzi do ogrodu.

Bob: Panie, panie, czy pan idzie do nas?

Pan: Tak. Czy pani hrabina przyjmuje?

Bob: Mama? a przyjmuje, przyjmuje! — Teraz tam u niej ktoś jest...

Pan: Co?

Bob: Ale pana przyjmie, jak ta szwaczka wyjdzie. — A może już poszła. Pójdę zobaczyć. (Biegnie i za chwilę wraca) Mama prosi. (Przychodzą do salonu). Może pan usiąść... i ja też mogę usiąść. Mama kazała, żebym z panem tu siedział, póki się nie ubierze — więc muszę tu siedzieć.

Pan: Pewniebyś się wolał bawić, prawda? Cóżeś robił, kiedym zajechał?

Bob: Bawiłem się z Hektorem.

Pan: A tobie jak na imię?

Bob: Mnie Robert... ale wołają na mnie Bob... to tak samo, jak na mego brata Fryderyka wołają Fred.

Pan: A gdzież jest Fred?

Bob: Na lekcji, — a potem to ja pójdę.

Pan: Cóż bardzoś już mądry?

Bob: Eh, nie... zwłaszcza pisanie mnie nudzi... resztę to dość lubię... ale to wściekłe pisanie... Tylko niech pan nic nie mówi, bobym się miał zpyszna.

Pan: Jakto, gniewają się na ciebie?

Bob: Oho i jak... dziś rano tom oberwał aż dwie bury.

Pan: Za cóż to?

Bob: Najpierw za to, żem zrobił trzynaście błędów w czterech wierszach. — A potem to znów za to, żem dał biednemu przez okno...

Pan: Jakto, za toś dostał burę, żeś coś dał ubogiemu? A cóż mu dałeś?

Bob: Ot... właśnie w tem sęk... Wyrzuciłem mu oknem z drugiego piętra moją filiżankę czekolady, — tak z drugiego... no i, jak mówili, to mu nie pomogło, a w dodatku oblałem go podobno... Podziękował mi też, wołając na całe gardło: „Przebrzydły bęben!“ — Widzi pan, ja mam dobre serce — byliśmy właśnie przy śniadaniu, a ten woła i woła jak opętany: (udaje ubogiego). „Nic nie jadłem, jestem głodny“!

Pan: (śmiejąc się) Pyszna myśl — rzucić filiżankę czekolady przez okno.

Bob: Mamusi się to jednak inaczej wydało.

Pan: (Namyśla się, o czem mówić) Czego się uczysz?

Bob: Eh!.. dajmy temu pokój — nie lubię o tem mówić poza lekcją... Oglądajmy lepiej razem fotografje — co, dobrze?

Pan: Dobrze.

Bob: A czy to pana będzie bawić?

Pan: Owszem, bardzo.

(Oglądają wspólnie fotografje)

Bob: (Po chwili). Ot już może dość tego, prawda, panie? — Niech mi pan teraz powie, co pan robi.

Pan: Jakto co robię?

Bob: No... jaki pan sobie obrał zawód?

Pan: Żaden.

Bob: Patrzcie, a to śmieszne! Zawsze mi mówią, że będę musiał sobie obrać jakiś zawód, jak dorosnę... bo każdy młody człowiek musi coś robić... a pan mówi, że pan nie ma żadnego zajęcia, a przecież pan nie jest stary — i duży pan już jest.

Ach, rozumiem, pewnie się pan niczego nie mógł nauczyć.

Pan: (Śmieje się). Wprawdzie nie jestem Salomonem — ale umiem mniej więcej tyle, ile trzeba umieć. Bardzo

dużo ludzi, tak jak ja, nie obrało sobie żadnej karjery; np. czy twój wuj co robi?

Bob: Naturalnie.

Pan: (zdziwiony) A cóż takiego?

Bob: Przecież chodzi do resursy.

Pan: A!.. no tak!

Bob: Ja, bo nie wiem jeszcze co obrać!

Pan: O zakład, że chciałbyś być wojskowym.

Bob: A właśnie że nie, bo mama mówi, że wojskowi prędko głupieją, a ja już wolę zgłupieć jak najpóźniej.

Pan: Słusznie.

Bob: Chciałbym być sędzią... ale to nie dla mnie.

Pan: Czemu?

Bob: Bo wuj mówi, że nie dość mieć głupią minę, żeby być sędzią... ale że trzeba jeszcze mieć dobre ułożenie... ja wiem co to znaczy... i nigdy tego umieć nie będę...

Pan: A cóż to jest dobre ułożenie?

Bob: E... pan to sam wie.

Pan: Zaręczam, że się bardzo ucieszę jak mi to wytłumaczysz.

Bob: No to... widzi pan... podług mnie być dobrze ułożonym to znaczy: nie plamić ubrania, nie dłubać w nosie, nie pokazywać języka tym, których się powinno szanować, nie jeść z psami z jednego talerza, nie wdrapywać się na drzewa, nie podnosić nóg do góry, nie mówić tego co się myśli, myć ręce kiedy brudne — no... dobre ułożenie to widzi pan zależy na tem, żeby robić to wszystko co nas nudzi, a nie robić tego co zabawne — Nie wierzy pan... co?

Pan: Owszem.

Bob: A pan, czy pan ma dobre ułożenie?

Pan: Hm, jak się zdarzy.

Bob: A może by pan wszedł ze mną na to drzewo tam... to kasztan ..

Pan: Dziękuję.

Bob: Jest także akacja, która ma doskonałe gałęzie — tylko, że akacje to niewygodne jak się z nich zjeżdża... Widzi pan to podrapanie tu... to z tej akacji.

Pan: Które, bo ich tu widzę cały zbiór.

Bob: To, to, największe na tem kolanie, na drugiem to Hektora sprawka... a ten siniec tu na ręku, to jakem się szamotał z profesorem, i chciałem mu wydrzeć obsadkę.

Pan: Oho!

Bob: (obojętnie) O my się często bijemy.

Pan: Ależ to bardzo źle.

Bob: Mama idzie!... bądź pan zdrów — już mogę wyjść. — (uradowany wybiega).

NOWA USTAWA O USTROJU SZKOLNICTWA

W lutym b. r. sejm polski uchwalił nową ustawę o ustroju szkolnictwa. Ustawa, ta mająca wejść w życie stopniowo w ciągu lat 6-ciu, obejmuje 59 artykułów, omawiających szczegółowo przedszkola, szkolnictwo powszechne, średnie ogólnokształcące, zawodowe, dokształcanie, kształcenie kandydatów na nauczycieli i szkoły wyższe. Ponadto pewne postanowienia przejściowe.

W myśl tej ustawy obowiązek szkolny trwa lat 7. Szkoły powszechne dzielą się na 3 stopnie według programu, jaki dana szkoła ma przerobić. Najwyższym wymaganiom, oczywiście, odpowiada szkoła powszechna III stopnia (siedmioletnia). Zapewnia ona swoim uczniom nietylko pewien zakres wykształcenia ogólnego, ale wyrabia również młodzież pod względem społeczno-obywatelskim i gospodarczym. Pracy nad pogłębieniem czynnika obywatelsko-społecznego w młodzieży poświęcony jest przedewszystkiem siódmy rok nauki.

Skoro jednak młodzież po wypełnieniu obowiązku szkolnego nie uczęszcza do szkoły kategorji wyższej, podlega ona do 18 roku życia przymusowemu dokształcaniu w szkołach czy na kursach dokształcających ogólnych lub zawodowych.

Zdolniejsi uczniowie mogą już po ukończeniu szkoły powszechnej II stopnia przejść do szkoły średniej zawodowej czy też ogólnokształcącej, czyli czteroletniego gimnazjum. Gimnazjum daje młodzieży wykształcenie ogólne w szerszym zakresie, ponadto zaś uwzględnia pewne praktyczne postulaty życiowe.

Dzięki temu po czterech latach nauki w szkole średniej następuje pewna selekcja uczniów w zależności od uzdolnień. Pewien procent może zakończyć swoje studja, otrzymując świadectwo, zapewniające ulgi w służbie wojskowej i pewne uprawnienia — w cywilnej (możność otrzymania posad rządowych); uzdolnieni w kierunku praktycznym przejdą do liceów zawodowych, poczem mogą kontynuować studja w odpowiednich szkołach wyższych (np. technika); w liceach zaś pedagogicznych lub teoretyczno-naukowych (odpowiadających mniejwięcej dzisiejszej klasie VII i VIII gimn). znajdzie się tylko młodzież o odpowiednich uzdolnieniach naukowych.

Licea te będą dwojakiego rodzaju: matematyczno-przyrodnicze i humanistyczne. W matematyczno-przyrodniczem uczeń będzie mógł wybrać sobie grupę przyrodniczo-matematyczną lub przyrodniczo-geograficzną. W humanistycznem zaś — grupę historyczno-polonistyczną, histor. filologiczną, albo histor. — neofilologiczną. Pewne przedmioty będą wspólne dla wszystkich grup w danem liceum (np. w liceum humanistycznem: religja, filozofja, jęz. obcy, gimnastyka), inne — nadobowiązkowe (jak rysunki, śpiew, muzyka, roboty ręczne). Pozatem jednak, jak wskazują same nazwy poszczególnych grup, pewne przedmioty staną się w danej grupie podstawą nauczania.

Metoda nauczania w szkołach nowego typu również ulegnie zasadniczym zmianom wobec wprowadzenia t. zw. metody daltońskiej czy też „pracy pod kierunkiem", przygotowującej do samodzielnych badań na poziomie uniwersyteckim. W tych warunkach liceum rzeczywiście będzie mogło dać swym uczniom poważne przygotowanie do studjów w szkołach wyższych.

Zatwierdzenie nowej ustawy wywołało w szerokich sferach społeczeństwa duże zaniepokojenie. Czy nowe szkoły będą zapewniały wychowanie religijne? Czy szkoły prywatne nie zostaną zbytnio skrępowane przez władze państwowe? Czy utrzymają się na swych stanowiskach dotychczasowi dyrektorzy i profesorowie?

Jednak dyskusje w Komisji Sejmowej tej sprawie poświęcone wyjaśniły wiele kwestyj.

Szkoły dobre zachowają swoje prawa, kierowników i siły nauczycielskie. (Tu dużą rolę odegrać może młodzież. Bo przecież dobra szkoła — to nietylko odpowiedni gmach, sale i pomoce szkolne, dobrzy nauczyciele i wychowawcy — ale i dobrzy uczniowie!)

A co do kierunku przyszłej szkoły? Najlepiej mówi o tem wstęp do nowej ustawy, zawierający pewną deklarację ideową:

„Ustawa niniejsza wprowadza takie zasady ustroju szkolnictwa, które mają państwu ułatwić organizację wychowania i kształcenia ogółu na świadomych swych obowiązków i twórczych obywateli Rzeczypospolitej, obywatelom tym zapewnić jak najwyższe wyrobienie religijne, moralne, umysłowe i fizyczne oraz jak najlepsze przygotowanie do życia, zdolniejszym zaś i dzielniejszym jednostkom ze wszelkich środowisk umożliwić osiągnięcie najwyższych szczebli naukowego i zawodowego wykształcenia".

CO WIEDZIEĆ WARTO?

W stosunkach japońsko-chińskich zaznaczają się tendencje pokojowe. Wprawdzie wojska japońskie wbrew orzeczeniu Ligi Narodów nie opuściły Mandżurji, pozostając tam pod pozorem obowiązku udzielenia pomocy i opieki zbrojnej nowopowstałemu rządowi niepodległego państwa mandżurskiego, najzaciętsze jednak walki pod Szanghajem ustały i Japończycy wycofują stamtąd swe wojska. Bez względu na pobudki, jakiemi w danym wypadku kieruje się Japonja, obecna zmiana polityki japońskiej stwierdza zwycięstwo idei pokoju nad hasłami walk zaborczych.

W Niemczech w ubiegłym miesiącu odbyły się wybory prezydenta rzeszy. Zainteresowanie społeczeństwa kwestją wyborów było ogromne. Licznie też pospieszyły do urn wyborczych kobiety. Agitacja przedwyborcza prowadzona na olbrzymią skalę przez wszystkie stronnictwa polityczne doprowadzała częstokroć do krwawych zaburzeń. Według obliczeń urzędowych największą ilość głosów (18,661.736) otrzymał Hindenburg, po nim — Hitler (11,328.750), znacznie mniej — pozostali kandydaci: Taelman i Duertenberg, a wreszcie znikomą ilość — Winter. Ponieważ jednak do ważności wyboru prezydenta w Niemczech wymagana jest bezwzględna większość głosów, w bieżącym miesiącu (10 kwietnia) odbędzie się powtórne głosowanie — tym razem na dwóch już tylko kandydatów Hindenburga i Hitlera. — Uzyskanie większości głosów przez Hindenburga świadczy o osłabieniu wojowniczego obozu fanatyka — Hitlera, co dla sytuacji politycznej i gospodarczej całej Europy posiada doniosłe znaczenie.

W Irlandji powstał nowy rząd z de Valezy'm na czele, reprezentujący stronnictwa nacjonalistyczno-republikańskie.

Sytuacja finansowa Anglji w ostatnich czasach nieco się poprawiła w związku ze sprowadzeniem do kraju większej ilości złota z Indyj.

W Hiszpanji od dłuższego czasu trwają niepokoje i zaburzenia zbrojne — na tle politycznem i gospodarczem.

Straszliwy orkan „tornado" szalał z niesłychaną siłą na terenie czterech stanów Ameryki Północnej. Z miejscowości Union Groowe nie pozostał dosłownie kamień na kamieniu. — Oczywiście niezależnie od wszelkich strat materjalnych wiele osób odniosło ciężkie rany, a nawet zginęło. Według urzędowych obliczeń śmierć poniosły 392 osoby, liczba rannych zaś przekracza 2500.

Kryzys gospodarczy odczuły największe potęgi finansowe. Jaskrawym tego znakiem są liczne w ostatnich czasach samobójstwa niedawnych potentatów przemysłu i finansów, takich jak słynny „król zapałek" Iwar Kreuger, czy wynalazca aparatów fotograficznych „Kodak" — Eastman. — W związku ze śmiercią Iwara Kreugera trust zapałczany może mieć pewne trudności w wypłaceniu swoich zobowiązań. Polska miała z tytułu pożyczki zapałczanej otrzymać 15 marca b. r. 4 miljony dolarów, a 1 lipca 16 miljonów dolarów. W razie nieotrzymania powyższej sumy Polska ogłosiłaby upadłość tego trustu, a temsamem straciłby on prawo dzierżawy monopolu zapałczanego w naszym kraju.

W organizacji władzy wykonawczej w Rzeczypospolitej Polskiej zaszły pewne zmiany. Mianowicie połączono Ministerstwo Reform Rolnych z Ministerstwem Rolnictwa; ministrem został Ludkiewicz. Ponadto Ministerstwo Robób Publicznych włączono do Ministerstwa Komunikacji, na czele którego stoi w dalszym ciągu min. Kühn.

W uznaniu zasług wielkiego muzyka polskiego — **Ignacego Paderewskiego** rada miejska Chicago nadała mu godność obywatela honorowego swego miasta. Uroczystość wręczenia dyplomu Mistrzowi przybrała charakter żywej manifestacji przyjaźni polsko-amerykańskiej.

Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski przebywa obecnie poza granicami Ojczyzny, lekarze bowiem zalecili mu wyjazd do miejscowości kuracyjnej Heluan, w Egipcie.

W uznaniu zasług Marszałka Piłsudskiego dzień jego imienin (19 marca) jakkolwiek w nieobecności solenizanta obchodzony był bardzo uroczyście.

W lutym b. r. przez dni 16 odbywał się w Warszawie drugi **międzynarodowy koncert Chopinowski.** Zgromadził on licznych przedstawicieli różnych narodów i omawiała go prasa licznych krajów.

W wyniku konkursu pierwszą nagrodę zdobył Rosjanin z Paryża, Aleksander Uninskij, drugą — niewidomy pianista węgierski, Imre Ungar.

10 kwietnia b. r. odbyły się **wybory na prezydentą Rzeszy Niemieckiej.** Bezwzględną większość głosów otrzymał marszałek Hindenburg.

Ś. P. X. BISKUP ZYGMUNT ŁOZIŃSKI.

Znów katolickie społeczeństwo Polski okryło się żałobą. W Wielką Sobotę 26 marca b. r. zmarł ś. p. ks. Zygmunt Łoziński, biskup diecezji pińskiej.

Urodzony w r. 1870 w Boracinie (pow. Nowogrodzki) po ukończeniu gimnazjum i otrzymaniu święceń kapłańskich w Seminarjum duchownem w r. 1895, studjuje w Akademji Duchownej w Petersburgu i zostaje profesorem w Petersburskiem seminarjum duchownem. Rozwijając żywą działalność apostolską i dobroczynną, wywiera doniosły wpływ na całą tamtejszą kolonję polską. Ale władze rosyjskie postanawiają uniemożliwić tę pracę. Stąd ciągłe przenoszenia ks. biskupa Łozińskiego do odległych miejscowości. Po Petersburgu — Agłona koło Dźwińska, Smoleńsk, Tuła, Ryga.

Po upadku caratu, kiedy w Rosji nastały czasy pewnej wolności Kościoła, papież Benedykt XV postanowił wznowić dawną diecezję mińską, której biskupem zostaje mianowany w r. 1918 ks. Łoziński. Nie opuszcza swej nowej placówki w czasie wojny polsko-bolszewickiej (1918-20), chociaż na każdym kroku grożą mu tortury i śmierć. Trwa na posterunku. Uwięziony przez bolszewików zostaje wywieziony do Moskwy, skąd jednak wraca, by pracować czas jakiś w Nowogródku, a wreszcie, kiedy w r. 1924 w pozostałej przy Polsce części diecezji mińskiej i części wileńskiej powstaje nowa diecezja pińska, zostaje jej opiekunem, jako biskup piński. Na tem stanowisku umiera, zostawiając po sobie wielki dorobek szeroko zakreślonej pracy pasterskiej — i szczery żal współrodaków.

Umarł prawdziwy apostoł Chrystusowy, »szaleniec Boży« o odwadze bohatera, głębi myślowej mędrca i pokorze świętego.

Umarł człowiek wielki.



WŚRÓD KSIĄŻEK

Zygmunt Nowakowski **Przylądek Dobrej Nadziei** (wyd. Gebethnera).

Przylądek Dobrej Nadziei... Dziwny tytuł! Może to jakaś opowieść egzotyczna, jakaś podróż afrykańska? Nic podobnego! Bohater tej książki, mały, dziesięcioletni chłopiec kolekcjonuje marki. Ma przeróżne. Ale najładniejsza, najbardziej pełna tajemniczego uroku, to marka z Przylądka Dobrej Nadziei. Siedzi na niej piękna pani, z nogami opartemi na kotwicy, i tęsknie spogląda na wschód; tam na wschodzie leży Australja. Czego wyczekuje ta pani? może za czemś tęskni? może się czegoś obawia? a może z tej tajemniczej dali przypłynie ku niej na australijskiej marce widniejący łabędź?... Czasami w ciche wieczory siedzi na kanapie mama w złoto-brązowym szlafroku, i czasem taka podobna do tej pani z Przylądka Dobrej Nadziei! Nogi ma oparte na stołeczku jak na kotwicy i także patrzy, patrzy w dal tak smutnie, tak tęsknie! Czy także czeka na łabędzia? Na co może czekać mama?...

Tak myśli, tak zastanawia się i marzy dziesięcioletni chłopiec.

Czytelnik słuchający opowiadań młodocianego naratora więcej z życia widzianego przez oczy małego chłopca rozumie. Chłopiec ten opowiada wypadki drobne, zwykłe: jak się bawi, jak uczy, jakie płata figle, co się dzieje w domu, kto tam bywa, o czem goście mówią, co się dzieje w szkole i t. d. Opowiada rzeczy smutne i wesołe, czasem nawet arcykomiczne. Czytelnik wiedząc tylko to, co mu chłopiec mówi rozumie to jednak inaczej i lepiej. Wie, że ma się czem trapić i o czem marzyć biedna wdowa, utrzymująca z lekcyj swoich trzech synów, walcząca z biedą i lichwiarzami,

dźwigająca na sobie cały trud życia i odpowiedzialność za wychowanie dzieci. Czytelnik widzi i rozumie, że ci trzej chłopcy, to charaktery trudne, butne, uparte, zawistne. Rozumie, jak poprzez ich dziecinne tęsknoty i marzenia rysują się i zapowiadają ich późniejsze usposobienia, zdolności i zamiłowania. Widzi poprzez naiwne słowa dziecka pierwsze a tak wstrząsające spotkania młodocianej duszy z wielkimi problemami życia: ze złem, dobrem, sztuką, śmiercią. To też ta świetnie pisana, pełna dowcipu i humoru książka uczy nas poznać lepiej nietylko psychologję dziecka, ale i psychologję człowieka i dlatego jaknajbardziej przeczytać ją warto.

Ronald A. Knox **Czyja ręka?** (wyd. św. Wojciecha).

Edison Marshall **Wyspa fok** (wyd. św. Wojciecha).

Obie te książki, tłumaczone z angielskiego (tłumaczone poprawnie i gładko) mogą stanowić lekką, rozrywkową lekturę, gdy głowa już zbyt zmęczona nauką, gdy myśl chce odpocząć i zbyt już jest ospała, by szukać w czytanej książce czegoś więcej jak wytchnienia, oderwania się od rzeczywistości i dziwnych, nieznanych przygód. Niczego też więcej w książkach tych znaleźć się nie da, a jakkolwiek pisane żywo a nawet zajmująco nie poruszają one żadnych spraw ważniejszych, ni głębszych, nie cechują ich żadne wyższe walory ani myślowe, ani literackie. Nie mają też do tego pretensji.

Pierwsza z nich „Czyja ręka" to powieść tak zw. detektywistyczna. Pewien pan, bardzo wysoko ubezpieczony na życie, umiera nagle, wskutek zatrucia gazem. Detektyw towarzystwa ubezpieczeniowego chce udowodnić samobójstwo, bo w tym wypadku towarzystwo polissy nie wypłaci. Detektyw policyjny podejrzewa morderstwo. Opowiadanie prowadzone jest tak zręcznie, iż wydaje się czytelnikowi, że obaj mają rację. Koniec jest prawdziwą niespodzianką: obaj detektywi byli w błędzie. Ładną postacią w tej książce jest postać katolickiego biskupa, który zjednuje sobie szacunek i sympatję protestanckiego otoczenia. Domyślać się można z zakończenia, że bohater opowiadania detektyw Milles Bredon nawróci się na katolicyzm, pociągnięty szlachetnem i prawem postępowaniem biskupa.

Druga książka „Wyspa fok" należy do rzędu powieści egzotycznych. Na dalekich północnych wyspach Aleuckich koczują stada fok. Cenne ich futra były zawsze przedmiotem chciwości wielu myśliwych i awanturników i niczem nieograniczone gonienie za tym cennym łupem groziło już zupełnie wytępieniem fok. Czekał ich los morsów, które prawie zupełnie zginęły z powierzchni ziemi. Rząd Amerykański wziął foki pod swoją opiekę dozwalając polować na nie tylko w pewnych okresach i w ograniczonej ilości. Banda korsarzy, chcąc się szybko wzbogacić, chce owładnąć wyspą św. Pawła, gdzie setki tysięcy fok mają swoje leża. Przygody tej wyprawy, a raczej jej dowódcy Pawła Loringa, są pełne romantycznych i nieprzewidzianych zawikłań. Nie będę ich tutaj opowiadać, by nie psuć wrażenia emocjonującej lektury. W książce tej obok ciekawej fabuły zasługują na uwagę interesujące szczegóły z życia fok, a opisy tajemniczych północnych wysp nie są pozbawione pewnej poezji i egzotycznego uroku.

Zofja Kossak-Szczucka **Szaleńcy Boży** (Krakowska spółka wyd.)

„Szaleńcy Boży" nie są już książką całkiem nową. Ale pierwsze ich wydanie, które się ukazało temu parę lat, było tak luksusowe i kosztowne, że faktycznie mało kto je czytał. Pamiętam, jak słysząc pochwały o tej książce, oglądałam w księgarni prześliczny tomik, ozdobiony zachwycającemi kolorowemi ilustracjami Leli Pawlikowskiej. Ale cóż! 36 złotych! — ta cyfra boleśnie utkwiła mi w pomięci — to nawet przed kryzysem było za drogo. Poznałam więc tylko ilustracje. Niedawno ukazało się drugie wydanie tego dzieła w cenie już normalnej. Ilustracje niekolorowane wiele straciły, ale czytając tekst zapomniałam o ilustracjach. Bo rzeczywiście książka ta wprost mnie zachwyciła. Mam wrażenie, że wielki talent Szczuckiej, który nie zawsze wytrzymuje ciężkie próby długiej powieściowej konstrukcji, zabłysnął w tych krótkich opowiadaniach najświetniejszym swoim blaskiem. Jej żywy temperament pisarski, plastyczna wizja epizodu, obraca się swobodnie w kreśleniu tych legendarnych obrazków z życia różnych świętych. Obrazki te, ozdobione całą barwnością historji, całą mądrą, głęboko symboliczną poezją legendy, przesiąknięte duchem wiary i pobożności autorki i jej artystyczną wrażliwością — to bez przesady arcydzieła w swoim rodzaju. Jest to książka wrośnięta w ziemię epiczną stroną talentu autorki a strzelająca w niebo jej poetycznym i artystycznym polotem.

Dlatego to choć „Szaleńcy Boży" nie są ostatnią nowością księgarską, chciałam jednak o nich w „Dziś i jutro" napisać, bo książka tej miary, tego uroku i tej poezji nie jest i nigdy nie będzie przestarzała i zawsze ją czytać i odczytywać można, a zalecanie jej jest zawsze aktualne.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.



JUTRO

DZIAŁ SAMODZIELNIE PRZEZ MŁODZIEŻ REDAGOWANY

WSPOMNIENIE

Przychodzisz nagle...

Czasem dziwnie dalekie i niepojęte — czasem tak bardzo bliskie, gdyby treść naszej duszy.

Rozrywasz zaschłe rany, wyrywając jakieś westchnienie.

Zapalasz na nowo iskry, które zgasły pozornie...

— — — — — — — — —

Tyś sumieniem naszem i żalem, a nadzieją..., gdy czerpiąc z przeszłości moc żywotną, odradzamy się w dawnych dążeniach...

Udręką jesteś człowieka, lub pokrzepieniem jego.

— — — — — — — — —

To, co pozostaje jako uwieńczenie dla naszych poczynań, nie jest mglistem marzeniem, lecz rzeczywistością i prawdą. A prawda ta, jako skarb w walce życia zdobyty, rośnie w tobie, w tobie odżywa i potężnieje.

— — — — — — — — —

Przywodzisz na pamięć chwile zapomniane już, a tak kiedyś kochane i ważne. — I cienie drogich istot złączonych nierozerwalnie z niemi i bytem naszym.

— — — — — — — — —

Czasami zagadką się zdajesz, budząc wtedy ból bezsilności i niezrozumienia. Lecz dając poznanie, odsłaniasz drogę właściwą...

Wspomnienie! dziecię z cierpień naszych i radości utkane — stań się jako najczystsza tęsknota ducha i jako najświętsze serca pragnienie!...

M. N. ucz. VIII kl.

„DZIŚ — NA JUTRO“.

Dzieweczko polska! Tobie wielkie chwile
zwiastuje PRZYSZŁOŚĆ, którą „Jutrem“ zowią. .

„Dziś“ — prędko bieży — zakurzy się w pyle...
IDŹ W JUTRO NAPRZÓD! z podniesioną głową!

Zorza jutrzejsza upiększy ci czoło,
Rumieńcem siły tryśnie na obliczu...

Wola ci przypnie skrzydła Archanioła,
I w oczy spojrzysz... Życiu!

napisała Antuza.

RZUT OKA NA HISTORJĘ OPERY POLSKIEJ

Wcześniej niż w innych krajach obudziło się w Polsce trwałe zajęcie operą włoską. Było to już za panowania Władysława IV, który jeszcze jako królewicz zapoznał się z tym działem muzyki w czasie swej podróży do Włoch. Po jego śmierci rzadko wykonywano w Warszawie opery. Dopiero za Augusta II w r. 1724 stanął w Warszawie teatr publiczny, w którym jednak wystawiano tylko opery kompozytorów zagranicznych, głównie włoskich. Na wzór teatru weneckiego wstęp na przedstawienia był dla wszystkich wolny. Epokową datą w historji opery polskiej stał się rok 1778. Wtedy to wykonano w teatrze królewskim w Warszawie, pozostającym podówczas pod dyrekcją Montbruna operę p. t. »Nędza uszczęśliwiona«. Autorem akcji scenicznej, napisanej zrazu w jednym akcie, był ksiądz Bohomolec. Wojciech Bogusławski przerobił komedję na libretto w dwóch aktach, a warszawski nauczyciel muzyki Maciej Kamieński, napisał muzykę, za co został obdarzony przydomkiem »ojca opery polskiej«. Pochodził on ze Słowaczyzny z Oldenburga, gdzie urodził się w r. 1734. Zamieszkawszy w Polsce, przesiąkł naszą kulturą zupełnie, choć do końca życia nie nauczył się poprawnie mówić po polsku. W r. 1779 we wrześniu stanął w Warszawie nowy teatr. Pierwszą operą, jaką tu grano, był »Bednarz« Andinot'a. Zaraz później nastąpiła druga opera Kamieńskiego »Zośka«, czyli »Wiejskie zaloty«, do libretta Szymańskiego. Prócz »Nędzy uszczęśliwionej« i »Zośki«, pisze Kamieński jeszcze opery p. t. »Prostota cnotliwa«, »Tradycja załatwiona«, »Balik gospodarski« i »Słowik«, które zresztą nie zdobyły sobie większej popularności. Kamieński umiera w r. 1821. W tym czasie ukazuje się również opera, w której występuje lud polski, ale nie ten sielankowy, konwencjonalny, lecz prawdziwy, rzeczywisty. Jest to opera p. t. »Agatka«, napisana przez Jana Dawida Hollanda na uświetnienie pobytu Stanisława Augusta w Nieświeżu przed udaniem się na sejm do Grodna. Autorem libretta był książę Radziwiłł. Na kilka tygodni przed wybuchem powstania kościuszkowskiego w marcu 1794 wystawił Bogusławski swoich »Krakowiaków i Górali«. Muzykę napisał Jan Stefani, Czech z pochodzenia, którego nazwisko utrwaliło się w historji muzyki tylko dzięki »Krakowiakom i Góralom«, gdyż inne opery jak: »Wdzięczni podolanie«, »Drzewo zaczarowane«, »Rotmistrz Górecki«, »Polka«, »Stary myśliwy« i »Papirus«, nie zdobyły zupełnie popularności. Michał Kleofas Ogiński (ur. w 1765 um. w 1833) zaznaczył się w historji opery dziełem jednoaktowem p. t. »Lélis et Valcour, ou Bonaparte au Caire«. Kompozytorem piszącym stosunkowo dużo oper był Józef Elsner. Urodzony w r. 1769 na Górnym Śląsku, umarł w r. 1854. Partytury jednak Elsnera nie miały zgoła prawa do tytułu prac artystycznych. Gdyby stan taki miał się w operze polskiej utrwalić, muzyka nasza nie wyszłaby nigdy z epoki prymitywów. Niestety miało to z małemi oznakami ewolucji trwać lat przeszło 40 aż do roku 1847, kiedy Moniuszko napisał »Halkę«. Z oper Elsnera największe znaczenie miała »Andromeda«, napisana do libretta Ludwika Osińskiego. Powstanie swoje zawdzięcza zwycięstwu Napoleona pod Jeną. Allegorja polityczna była tendencją sztuki. Dnia 18 stycznia 1807 r. był na przedstawieniu obecny Napoleon, zresztą opera miała małe powodzenie. Przedostatnie dzieło sceniczne, »Król Łokietek« do libretta Dmuszewskiego jest pełne wesołych scen ludowych i tanecznych, co bardzo pociąga słuchaczów, ale nie odpowiada tragicznemu losowi króla — wygnańca. Niewątpliwe jednak zasługi Elsnera na polu krzewienia kultury muzycznej w Warszawie uczczono wybiciem medalu pamiątkowego.

Obok Elsnera dostawcą dzieł dla opery warszawskiej, był w latach 1810 — 1842 Karol Kurpiński. Niektóre jego opery, jak »Szarlatan«, »Jadwiga«, »Nowe Krakowianki«, »Czaromysł«, »Zamek na Czorsztynie i »Cecylja Piaseczyńska« zdobyły trwalsze powodzenie, lecz było wiele takich, które tylko raz były wystawione. Jednak »Jadwiga« była wystawiana w Warszawie i w wieku XX,

a »Zamek na Czorsztynie« czyli »Bojomir i Wanda« był w repertuarze teatru hr. Skarbka we Lwowie w ostatnich kilku latach 19 wieku. Opery Kurpińskiego, podobnie jak opery Elsnera, były zbiorem duetów, aryj, zespołów nie związanych ze sobą organicznie, przytem pełne ogromnie długich koloratur, sięgających ostatnich granic danego głosu. Dużo też jest w nich partyj tanecznych. Odbiegł jednak Kurpiński od tego w operetce »Dwie chatki« do libreta Dmuszewskiego, w której przejawiła się jego duża indywidualność. W czasie, kiedy w Warszawie kwitnął kult wodewilu i lekkiej opery, kiedy obok Elsnera i Kurpińskiego Józef Damse wystawiał tam swój »Klarynecik magnetyczny« i »Nocleg w zamku«, tworzy ks. Antoni Radziwiłł dzieło zupełnie innego pokroju niż opery warszawskie, mianowicie muzykę do scen »Fausta« Goethego. Robert Schumann napisał po wykonaniu tej muzyki w Lipsku krytykę dość ostrą, niemniej jednak dodał, że »Nie można niektórym numerom »Fausta« Radziwiłła odmówić szczególnej wartości, nieskazitelnej fantazji, żeby tak powiedzieć, książęcej prostoty i siły inwencji, która często trafia w sedno rzeczy«. Aż do wystąpienia Moniuszki nie pojawił się w Polsce żaden wybitniejszy talent dramatyczny«. Opera polska w latach między »Nędzą uszczęśliwioną« a »Halką« wegetowała przy pomocy kompozytorów, których zdolności i technika stały daleko poniżej warunków niezbędnych do zdobycia bodaj tylko przejściowego powodzenia u publiczności stołecznej. *C. d. n.*

M. Późniakówna V kl.

Ulica na prowincji

Na zabłoconą ulicę wolno szary mrok spływa —
Opada na nią — przegląda się w błocie —
Resztki śniegu tają — stróż nocny zaczyna
Lampy ożywiać zielonawe niby oczy kocie —

Chodnik wąski i brudny — jakby wieko trumny
I w jedną i w drugą stronę pochyły —
Słup w połamanym płocie stoi nieruchomy
Zczerniały i u spodu już trochę nadgniły —

Parkany przed przechodniem kornie chylą czoła —
Cofają się trwożliwie w cień krzewu bzowego —
A z poza węgła domu płynie piosnka niewesoła
Obitego psa bezdomnego

Janka Morawetzówna (ucz. kl. VII.)
Kołomyja.

W gimnazjum SS. Urszulanek w Tarnowie obchodzono uroczystą akademją dziesiątą rocznicę rządów Ojca św. Piusa XI. Produkcje muzyczno-wokalne zakończone były żywym obrazem, przedstawiającym na tle efektownych, artystycznych dekoracyj triumf Kościoła.



WSPOMNIENIE.

Dnia 25. października 1931 r. ubyła z naszego grona ś. p. Marysia Kramarzówna, uczenica VI. klasy. Widać dojrzałą była jej duszyczka dla nieba, gdyż zmarła skutkiem ukrytej choroby i wszelka wiedza ludzka nie mogła uratować jej młodego życia. Śmierć Drogiej Koleżanki stała się dla nas bolesnem zakończeniem świeżo odbytych rekolekcyj, podczas których zastanawiałyśmy się nad znikomością ludzkiego życia. Każda z nas zadawała



Ś. p. Kramarzówna Marysia.

sobie pytanie, czy doczeka przyszłego roku – i Ty, Marysiu, pierwsza na to odpowiedziałaś. Umiałaś współdziałać z łaską Bożą — oczyściłaś Swą duszyczkę przez cierpienie — przygotowałaś Ją do żniwa, aż Pan przyszedł i przytulił ją do Swego Serca.

Przyjmij od nas, Marysiu, ostatnie słowa pożegnania! Pozostaniesz w naszych wspomnieniach zawsze świetlaną postacią! Kiedyś mówiłaś, że pragniesz służyć Matce Najświętszej w szeregach Sodalicji — dziś lepiej służysz Bożej Rodzicielce, najbliższaś Jej z nas wszystkich – prosimy Cię zatem, uproś za Jej wstawiennictwem, abyśmy jak najlepiej tę służbę pojęły i wykonały!

W serdecznej ufności w Twe obecne szczęście zwracamy do najbliższych, których na ziemi zostawiłaś, słowa gorącej otuchy i nadziei, że Zbawiciel tak przez Ciebie Kochany ześle im pokrzepienie w tym smutku.

Uczenice kl. VI SS. Urszulanek
w Lublinie.

Sny dzieciństwa.

Głąb ciemna strychów starych, studni cembrowa-
[nych,
Melodje kurantowych antycznych zegarów,
Tajemnicze zagadki skarbów zakopanych
W ogrodach smutnych wśród wojny pożarów,
Echa bojów stoczonych gdzieś w ostępach leśnych,
Gdy zaciekle walczące indyjskie drużyny,
Strojąc swe tomahawki wśród triumfu pieśni,
Brały miast skalpu wieniec jarzębiny;
Wspomnienie sadów białych miodami pachnących,
Wieczorów takich jasnych od blasków księżyca,
Widm przedziwnych po świecie bez końca błądzą-
[cych
I pastuszki co czeka na dziw – królewicza;
Klawikordów bezdźwięczne pożółkłe klawisze,
Na których nikt nie grywał z obawy, by złego
Echa nie zbudzić; – cicha pieśń, co do snu koły-
[sze —
Oto minione sny dzieciństwa mego.

Marja Naturska.

TREŚĆ Nru 8:

WARUNKI PRENUMERATY:

Prenumerata roczna = 8 zł.

Cena numeru pojedyńczego 80 gr.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Julja Felicja Bronikowska.

Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

Konto P. K. O. Nr. 404.930.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca“ w Krakowie.